

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Dziadus.

Nowe słońko w niebie stoi,
Nowe słońko, nowe lato,
Wyszedł na próg dziadus siwy,
— Bóg cię trzymaj, moja chato!
I obrócił się na strony,
I wyciągnął obie ręce,
Błogosławił krzywym płotom,
Krzywym płotom i studzience.
— Bóg was trzymaj krzywe płoty;
Suchym chróstem zaplecione!
Chodziły tu różne wichry,
Ale poszły w swoją stronę.
Bóg cię żegnał ręką swoją,
Ty studzienko z żytnią wiechą!
Napoiłaś ty mię łzami,
Napoiłaś i pociechą!
I obrócił się na zachód,
Na to półko, na te lany
— Bóg cię trzymaj ziemio moja,
Mój zagonie przeorany!
Siedmiorakiem ja cię potem,
Jako drobnym dżdżem polewał
I za plugiem chodząc miedzą,
Jak skowronek tobiem śpiewał.
I obrócił się na słońce,
Gdzie się łąka rozzielenia,
I zamachnął się ogniście,
Jakby kosą od ramienia.
— Bóg cię trzymaj, moja łąko,
Przesioczona ostro kosą,
Świeciłaś ty znojem naszym
Świeciłaś ty bujną rosą.

Marya Konopnicka.

Jutrzenka.

Opowiadanie historyczne według powieści

J. Ebersa „Separis“

przez

Stefana Gębarskiego.

ROZDZIAŁ I.

Wieczór się zbliżał. Nad Aleksandryą zaczęły gasnąć jeden za drugim promienie zachodzącego słońca. Wkrótce królewski, złotymi gwiazdami zdobny płaszcz nosy, ogarnął horyzont i osłonił wspaniałe miasto, wśród którego w końcu IV-go wieku naszej ery wznosiła się jeszcze wspaniała świątynia pogańska, poświęcona bożkowi Serapisowi. Nad nią podówczas wspanialszej nie było na świecie, wszystkie serece pogan zwracały się ku niej i w nadziemskiej mocy jej bożków nadzieje pokładały.

Właśnie podówczas, kiedy się rozpoczyna opowiadanie nasze, to jest w roku 391 po Narodzeniu Chrystusa Pana, w Aleksandryi wybuchały groźne zaburzenia pogan przeciw chrześcijanom.

Na główniejszych ulicach, dotychczas spokojnych, poświęconych zajęciom handlowym i przemysłowym, zjawily się zbrojne bandy przybyłych ze wszystkich stron pogan, którzy radzi szukali zaczepki z wyznającymi wiarę Chrystusową.

Zwolna bogate, handlowe miasto przybierało postać wzburzonego obozu wojennego, w którym lada chwila krew polać się mogła obficie.

Poganie postanowili raz jeszcze spróbować, czy nie uda się wrócić dawnego porządku rzeczy, dawnych bożków, dawnych zwyczajów i dawnej przewagi mocniejszych nad słabszymi, panów nad niewolnikami, tyle podówczas mającymi wagi, co koń, wół lub pies.

Pierwsze gwiazdy już weszły, gdy w jednej z najpiękniejszych kamienic aleksandryjskich za-

błysły tysiące światel i dały się słyszeć dźwięki muzyki i śpiewu. Stanowiło to silny kontrast z hałasem nlicznym, groźnymi okrzykami i szczerkiem zbroi straży miejskiej.

Porfirysz, najbógatszy z obywateli miejskich równy bogactwu Cezarowi, wydawał ucztę na cześć córki swojej Ireny, która niedawno wróciła z Rzymu, gdzie bawiła u krewnych blizkich i gdzie piękna jak słoneczko, zdolna i mądra, otrzymała staranne i wyborowe wykształcenie.

Porfirysz nie skąpił złota, ażeby córkę swą wtęczyć znakomicie w szkole śpiewu, tę gałęź albowiem sztuki lubił on najbardziej i nie znajdował większej pod słońcem nad śpiew i muzykę przyjemności.

— Muzyka i śpiew — to język, to mowa bogów — mawiał do swoich najbliższych.

Mający około pięćdziesięciu lat życia, Porfirysz przedstawiał wybitny typ obywatela rzymskiego, bogatego, pewnego swej potęgi i przewagi nad wszystkimi, którzy słabsi. Lubił rozkazywać i lubił nieposłusznych karać. Jowisz gromowładny był jego ideałem.

Stary porządek państwowy, starzy bogowie i stare zwyczaje pogańskie zachował dla niego wszechpotężny urok, chętnie poświęciłby dla nich życie i mienie.

Żonę utracił przed kilku laty i szczerze jej żałował, nie kwapiąc się wstępować w nowe związki małżeńskie.

— Dla córki mojej Ireny poświęcę resztę dni mojego żywota — mawiał, kiedy wspominał mu, że powinien nową panią sprowadzić do domu swego.

Człowiek ten mógłby się być nazwać szczęśliwym, gdyby nie nastąpiły czasy dziwne, czasy panowania nad duszami Jezusa Nazareńskiego. Ukrzyżowany Bóg chrześcijan w keronie cierniowej, opiekun biednych, cierpiących i wydziedziczonych, pociągał ku niebu dusze, napełniał światłem nauki nowej świat cały, rzucając cień na dawne bóstwa i wierzenia.

Porfirysz miał przyjaciół możnych w całym potężnym państwie rzymskim i od dwóch dziesiątków lat o niczem innem nie marzył, jak o przywróceniu dawnej potęgi Jowiszowi, Herze, Izydzie, Serapisowi i innym wszechwładnym bóstwom, które tak niedawno jeszcze niepodzielnie nad światem panowały.

— Chrystus, Bóg tych obdartych, wygłodzonych chrześcijan, pomógł Konstantynowi Wielkiemu zwyciężyć opoja ignusnego rozpustnika Maksencjusza, rozporządzającego wielką armią, i za to tego Boga godło — krzyż zapanowało nad Rzymem i nad światem. Ale dość tego panowania! Stare bogi powstają i lud powróci do nich! — tak myślał Porfirysz.

Właśnie tego wieczoru, kiedy taką wspaniałą na cześć swojej córki ucztę wydawał, przybył do niego z Rzymu Olimpiusz, sławny i głośny na

całym świecie filozof, zwolennik zawzięty kultu starych bogów, mąż powagi wielkiej i urody przedziwnej.

Przybył on z licznym poczetem sług, na bogatym rydwanie, nie jak wielki uczony, ale jak najbogatszy z patrycjuszów rzymskich. Wiażd jego do Aleksandryi zajął i wstrząsnął ogół. Ten przepych, którym się Olimpiusz otoczył, te pieśni i gra na lirze jego przybocznych śpiewaków, to wspaniałe obejście się z tymi, którzy się doń zbliżyć mieli szczęście, wreszcie bogate darv złożone kapłanom świątyni bożka Serapisa — ogólne zadziwienie i zachwyt wzbudziły. Wszyscy poganie naraz podnieśli hardo głowy, głośno zaczęli odgrażać się chrześcijanom, półmilionowe miasto zawrzało, jak wewnątrz wulkanu w przeddzień groźnego wybuchu.

Porfirysz, rozjaśniony jak zorza, powitał w domu swoim wielkiego Olimpiusza.

— Niechaj cześć i chwała będzie bogom, że pozwoliły mi w progach i pod dachem domostwa mojego powitać największego z uczonych i najdzielniejszego z obrońców Jowisza — rzekł Porfirysz, ściskając w swych dłoniach miękkie, delikatne ręce Olimpiusza.

Uczony spojrzał z wdzięcznością w oczy uprzejmego gospodarza i odrzekł z uśmiechem radosnym:

— Wielki dzień zwycięstwa zbliża się. Podwójnie więc milem mi to powitanie, raz jako z przyjacielem, powtóre jako z tym, który już tryumfuje. A tryumf — to największe święto bogów i ludzi!

— Ten tryumf tobie się należy niepodzielnie wielki Olimpiuszu! Lud zna i wielbi twe imię, Aleksandrya pełna twojej sławy, cały świat pogański na ciebie ma oczy zwrócone!

— Jednak gdyby nie szczęśliwa mwał twoja, Porfiryszu, ażeby tutaj, w tej stolicy Wschodu, podnieść bój przeciw panowaniu Boga ubóstwa i niewolnictwa, przeciw panowaniu krzyża, sprawa nasza długoby jeszcze musiała czekać na radosny dzień tryumfu.

Olimpiusz nachylił się do ucha przyjaciela i szepciem zaczął wyliczać nazwiska obywateli, których zjednał dla świętej sprawy i którzy przyrzekli na śmierć i życie wydać bój Bogu słabych Bogu sierot i cierpiących.

W miarę wyliczania tych nazwisk Porfirysz coraz radośniej patrzył w oczy filozofa.

— Tak — rzekł dobitnie — krzyż upaść musi! Jowisz, Izda i Serapis obejmą z powrotem niepodzielne nad światem panowanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Uczczenie poety.

W Wiśniczy, na zamku, gości huk! Znać jakąś ucztę wyprawia jaśnie wielmożny wojewoda, bo huczno i dworno zjechali się panowie senatorowie, kasztelanowie, starostowie i innych magnatów wielu. Aż się trzęsa wiśnickiego zamku mury, a w czeladnych izbach ludno i rojno jak w mrowisku.

Wojewoda z Wiśnicza, Piotr Kmita, był to pan wielki i możny; w podziw wprawiały jego dostatki i bogactwa wszelakie.

I dla kogo on wyprawia ten bal suty i wspaniały?

Nad tem od godziny już łamią sobie głowy i Grześ kuchcik i Sołowij kozak i pajuk Walenty.

— Wiem już, na co to wszystko — rzece Grześ; — to pewno arcybiskup przyjedzie ze Lwowa.

— Przedzej pan kasztelan krakowski — mruknie Sołowij.

A stary pajuk pokiwał głową i machnął ręką.

— Nie nie wiecie obadwaj — szepnie; — nie dla arcybiskupa, ani dla kasztelana ten bal w naszym dworze. Mnie się zdaje, że pan wojewoda spodziewa się dziś samego króla jego mości.

Aż na to wysunął się z dworu pan Szczeczuga, dworzanin pana wojewody.

— Nad czem tak radzicie? — zapytał?

— Ot, panie — odpowie kozak — zgadujemy, dla kogo to pan wojewoda taką huczną wyprawia biesadę.

Pan Szczeczuga uśmiechnął się i poważnie ruszył głową.

— Nie zgadnie z was ani jeden — rzekł. — Pan wojewoda i wszyscy tu zebrani panowie spodziewają się dziś sławnego gościa. Klemens Janicki ma dziś wrócić z włoskich krajów.

— Klemens Janicki? Klemens Janicki? mruknął pod nosem kozak Sołowij. — Jeździłem ja z panem dwa razy na sejm do Krakowa i poznałem wszystkich panów, ale żadnego Klemensa Janickiego nie widziałem.

— Bo Klemens Janicki nie pan żaden, powie Szczeczuga; lecz syn prostego chłopca ze wsi Januszkowa, co to leży koło Żnina, a Żnin znowu niedaleko Gniezna.

— Syn prostego chłopca! krzyknął Grześ zdziwiony.

— Ale człowiek uczony wielce, — dodał pan Szczeczuga. Układa takie cudne śpiewki po łacinie, że człeka chwytą za serce, jakby śpiew słowika lub skowronka na wiosnę.

— A z kądże on się nauczył po łacinie? — zapytał Sołowij.

— Podparł się pan Szczeczuga i ozwie się na to:

— Trzeba wam wiedzieć, że ten Klemens czyli Kłimek Janicki pasał bydło za młodą, a

choć miał wielką chęć do nauki, ubogi ojciec nie miał za co syna posłać do szkoły. Razu jednego siedzi sobie Kłimek przy drodze, gdy w tem w sutej kolasie nadjechał arcybiskup z Gniezna. Spodobał mu się chłopczyzna, kazał więc przystanąć kolasię i nuż się pytać chłopca, co za jeden i jak się nazywa? dowiedziawszy się zaś, że ma ojca, kmiecia we wsi, śle zaraz pajuka do starego Janickiego i rzece do niego:

— Oddajcie mi w opiekę syna, a ja mu przyszłość zapewnię.

Ucieszył się wielce Janicki, jak każdy ojciec, co pragnie szczęścia dla swego dziecka; rad przystaje na wszystko, a ksiądz arcybiskup bierze z sobą chłopczykę i oddaje zaraz do szkół w Poznaniu.

Zaczął się uczyć Kłimek i wnet prześcignął w rozumie najpierwszych towarzyszków. Wkrótce potem począł już układać owe cudowne śpiewki łacińskie, co to aż sam król je czyta i radnie się niemi niezmiernie. Już wtedy stał się głośnym młody Klemens; ale wnet dotknęło go nieszczęście. Jego opiekun i dobrodziej, ksiądz arcybiskup, pożegnał się z tym światem na zawsze, a Klemens miał zostać bez pomocy. Na szczęście poznał go wtedy nasz wojewoda i wziął na swój koszt chciwego nauki młodzieńca.

Tymczasem Klemens takie robił w naukach postępy, że niebawem nie było mu się już czego uczyć w kraju. Pan wojewoda, nie żałując pieniędzy, wyprawił go wtedy do ziemi włoskiej, gdzie się najwięcej gromadzi ludzi uczonych i gdzie szkoły są bardzo wysokie. Pojechał Janicki, ale po kilku latach i tam już uczeni musieli ustępować mu pierwszeństwa, a gdy się o jego łacińskich śpiewkach dowiedział Ojciec święty w Rzymie, kazał ze złota zrobić koronę i w mieście Padwie ukoronować Klemensa, jako najpierwszego poete.

— Więc syna prostego chłopca polskiego kazał sam papież koronować! — zawołał Grześ, kuchcik.

— Tak, tak, chłopcze, rzece pan Szczeczuga: Ukoronowany w Padwie, wraca do swej ziemi milej i dziś jeszcze ma tu przybyć. Dla tego to zebrali się panowie u naszego wojewody, aby tak sławnego człowieka powitać.

Zaledwie skończył pan Szczeczuga swoje opowiadanie, aż tu zadudniła kolasa i z hukiem i stukiem zajechała przed zamek.

— Otóż i on! — zawołał pan Szczeczuga.

Patrzą wszyscy, a toć młode paniątko, takie ładne i układne, jakby nie widziało nigdy nie na oczy, jeno same pańskie palace. I kto by to poznał, że to ten sam Kłimek, co przed kilkunastu laty pasł bydło w Januszkowie.

Staje kolasa przed gankiem, Klemens wysiada, aż tu otwierają się drzwi pałacowe i naprzód postępuje z otwartymi ramionami jaśnie wielmożny wojewoda, a za nim pań i panów co nie-

mlara, a wszyscy poważni i wspaniali, wszyscy w złocie i aksamitach.

Kłania się Janicki, a oni wszyscy wołają:

— Witaj nam, ukoronowany, witaj Klemencie Janicki!

I witają, ściskają, całują, prowadzą naprzód do komnat i na pierwszym sadzają miejscu. I rozpoczęła się zaraz wesół zabawa, zagrała muzyka od neha i wino płynęło — a wszystko to na cześć Klemensa. Jemu aż się lzy leją po ładnej twarzy z rozczulenia, wszystkim tedy serdecznie dziękuje.

Długo w noc przeciągała się zabawa, a na całym zamku i w pańskich komnatach i w czeladnych izbach o nikim nie było mowy, tylko o wielkim poecie z ludu.

Spiewak Matki Boskiej.

Kiedy Pan Jezus chodził po świecie i prawdy uczył ludzi w Nazarecie i swą naukę zbawicielską głosił, skowronek Matce stesknionej od Syna codziennie wieści do chaty przynosił, by spokoi miała Jej dusza matczyną.

Kiedy samotna płakała w swym smutku, on ją piosenką pocieszał w ogródku i przed Chrystusa do domu powrotem co tchu przylatał, by ożnać o tem, że nauczania dziś skończona praca i świerkał:

— Pani, czy otrzyj, syn wraca!...

A na Golgocie, gdy świat struchał cały, że Bóg na krzyżu kona umęczony, do świętej skroni wznosił się ptaszek mały, by odjąć kolec z cierniowej korony i chociaż tyle ulżyć Pańskiej męce, aby krwi konać mniej Chrystus uroził.

Wzleciał nad krzyżem i krążył w błekcie i smutną piosenką nad Golgotą dzwonił, że Bóg za ludzkosć oddał swoje życie...

Płakało ptasze nad Chrystusa głową, że dźwigać musi koronę cierniową i że za prawdy tryumf — ludzkie dłonie kolbami Jego uwięziły skronie.

* * *

Bogarodzica, maluczkich Patronka, wzięła do nieba świadka swojej troski.

U stóp Jej tronu miejsce dla skowronka i jest śpiewakiem oddał Matki Boskiej.

Ona swojego wiernego pieśniarza trzyma w opiece i laską obdarza, a kto ptaszynie Jej krzywdę wyrządzi tego Bóg karze i surowo sędzi.

Sama Przeczysta jego gniazda strzeże i od napaści własną chroni dłoń, pod swój błękitny płaszczyk skowronka bierze, pod płaszczyk gwiazdami świecący jasnymi i gniazdko jego nakrywa przy ziemi — a wroga, co jej ptaszynę zaczepia, razi światłością i blaskiem oślepia.

Przy tronie Panny co wieczór i rano na „Aniol Pański” ptasze pieśni śpiewa, a chociaż dzwony ziemskie bić przestaną, on w swoją piosenką całą dasze wlewa i w tym śpiewanym tak tonie zachwycie, jak gdyby pieśnią tylko było życie.

A Matka Boska z zadumą na twarzy słucha śpiewaka swojego i marzy...

* * *

Splewaj, ptaszyno, śpiewaj Jej o ziemi, którą do pracy budzisz tony swemi i o oraczach, co w tę rolę czarną, w znoju i trudzie zasiewają ziarno, serdecznym głosem nucąc pieśń poranną:

— Błogosławiona Maryjo Panno!...



Wesoły kącik.

— Jasu! ja gdym przyszedł do Kartuz, nie miałem ani marki w kieszeni!

— A ja ani fenysa!

— Jakto?

— No... bo ja się w Kartuzach urodziłem.

Zdradził.

— Tak, proszę pani, dziadek mój był człowiekiem tak bogatym, iż zawsze jadał na złocie.

— Nie ma się z czem pan Alfons chwalić, przerywa mały Jerzy, mama moja ma nawet żeby oprawne w złoto... Niech mamusia wyjmie i pokaze panu.

~~~~~

Nauczyciel: Słuchaj Antku — podobno twoja matka zachorowała na tyfus — więc nie przychodź do szkoły tak długo, aż matka nie wyzdrowieje, bo mogłabyś też dostać tyfusu, a od ciebie inne dzieci.

Antek: Niech się pan nauczyciel nie boji — ja mam macochę, a od niej nigdy nie dostaję.



## Rozwiązanie łamigłówek z nr. 12

I.

Wilhelm Tell.

Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 12 „Aniola Stroza” nadesłał Władysław Bukowski ze Starej Kiszewy.

